



PRACA nad sobą

ΔΠΕΡΩΔΥΚ ΜΑΡΩΩΚΚ Δ

Zeszyt 8.

KRAKÓW, lipiec 1998.r.

Zgodnie z oczekiwaniem, publikacja niespodziewanie odkrytych listów Mateczki z okresu pierwszych objawień Dzieła Miłosierdzia Bożego spowodowała wiele dyskusyjnych wypowiedzi. Te z nich, które są utrzymane w tonie rzeczowej refleksji, będziemy umieszczali w kolejnych zeszytach „Pracy”. Poniżej, jako pierwsza, wypowiedź br. abpa M. Rafaela. Zapraszamy do dalszego przesyłania własnych refleksji, poglądów i pytań na temat tych listów.

Wie - dla „grzeszności” Mateczki

Otrzymałem zeszyt 7. pisma „Praca nad sobą” i jestem zdumiony i bardzo zasmucony tym, co tam przeczytałem o dwóch „wielkich grzechach” Mateczki.

Pierwszym grzechem Mateczki, popełnionym myślą, miała być zazdrość w stosunku do o. Franciszka Strumiły o jego wywyższenie u Boga kosztem Mateczki.

Autor błędnie interpretuje opis pokusy, z której Mateczka zdaje sprawozdanie o. Honoratowi, pisząc, że zanim przemogła pokusę „przez dłuższy czas podlegała grzesznemu pragnieniu”.

Przede wszystkim zaprzeczam temu, że opublikowany list Mateczki jest „wyznaniem spowiednim”. Nie. List Mateczki jest zwykłym sprawozdaniem, zdaniem sprawy z własnego życia duchowego, jakie zakonnik czy zakonnica w naszych zgromadzeniach zdają co jakiś czas swoim przełożonym. Przed 1935. rokiem taka praktyka obowiązywała wszystkich kapłanów i siostry, a więc także obecnych braci płockich, którzy dzisiaj tego ćwiczenia nie praktykują. Odbywanie tego rodzaju konferencji u przełożonych ma na celu - ogólnie mówiąc - postęp duchowy, Ćwiczenie się w cnotach zakonnych, a w szczególności w pokorze.

Mateczka w swoim liście do o.Honorata pisze właśnie o przeżyciu pokusy, o której wspomniałem wyżej. Szczegółowo podaje jak została zaatakowana przez złego ducha myślami i zazdrością skierowanymi przeciwko o.Strumille, przez które kusiciel usiłował wzbudzić w Niej miłość własną i doprowadzić do sprzeciwienia się Woli Bożej na tle Jej obowiązków wobec Pierwszego Mariawity. O zazdrości pisze, że jej nigdy nie miała i „*niczego nikomu nie zazdrościła*”. Absolutnie jednak nie pisze o poddaniu się, choćby na jedną chwilę, pokusie. Przeciwnie stwierdza, że przez okres pacierzy wieczornych, czyli przez kilkanaście, czy może kilkadziesiąt minut „*nie miała od tej pokusy spokoju*”. A kończąc opis tej pokusy mówi, że jeśli tak w istocie jest, że może naprawdę jemu pomóc, to pomoc ta jest Jej jedynym pragnieniem i szczęściem.

Rzeczywiście pokusa była bardzo wyrafinowana i mogła być dopuszczona za przyzwoleniem Bożym jedynie tylko wobec takich dusz jak Mateczka, czy Pan Jezus, bo wywoływała stan zazdrości bez zgody strony atakowanej. A przecież o rezultacie pokusy nie decyduje sama pokusa, siła jej działania na człowieka, lecz wyłącznie dobrowolne ze strony człowieka jej przyjęcie. Jest to jedna z podstawowych zasad życia duchowego. Mateczka również bardzo wyraźnie to akcentuje pisząc „*W pokusach tylko wola człowieka i zgodzenie się dobrowolne i zupełnie świadome może być grzechem, a dokąd dusza gardzi i nie zgadza się na myśli, wyobrażenia i uczucia, to dotąd nie ma grzechu, tylko jeszcze zasługę za zwycięstwo nad szatanem i naturą*”¹⁾).

Tak więc Mateczka, rozpoczynając swoją zbawczą misję i przechodząc na jej początku, podobnie jak Chrystus, pewne pokusy i doświadczenia ze strony złego ducha, zwyciężyła zarówno tę pokusę, jak i wszystkie inne, odnosząc nad nimi i nad duchem złym absolutne zwycięstwo.

Drugim grzechem na być - jak pisze Autor - „upadek” z kapłanem.

Mateczka nawiązując do jakiegoś zdarzenia, o którym o. Honorat wiedział, wyraża się w swym liście: „...stoi mi przed oczami upadek z tamtym kapłanem”. Mateczka zwykle bardzo rygorystycznie przedstawiała swój stan duchowy, biorąc często słabości, czy niedoskonałości natury ludzkiej, za swoje wady. Mówiąc o potrzebie pracy duchowej stwierdza na przykład, że się nie oczyścimy dobrze i nie powstaniemy z „upadku” (tak nazywa nasz stan duchowy) jeśli nie zaczniemy wyniszczać w sobie źródła zła, to jest pychy i zmysłowości. A więc podobne wymagania, jako sobie samej, stawia także nam wszystkim.

W latach 1947-1975, kiedy w Felicjanowie było jeszcze dużo sióstr znających Mateczkę, można było na rekreacjach czasem usłyszeć interesujące rzeczy, a w tym także i takie, które potwierdzają bardzo poważne traktowanie przez Mateczkę wszelkich niedociągnięć, nieodpowiednich żartów, czy nietaktownych zachowań.

O czym więc wspomina Mateczka w swym liście do o. Honorata - nie wiemy. Wiemy tylko dobrze, że nie była to nawet najmniejsza niedoskonałość, światowy „uścisk dłoni połączony z uczuciem erotycznej przyjemności” ze strony Mateczki, co Jej chce przypisać Autor. Mógł to być jedynie ze strony owego kapłana jakiś nietakt, którym Mateczka obciążyła także siebie, że nie mogła temu zapobiec. To zaś, co Autor pisze, że gdyby Mateczka przelamała nawet jakieś przykazanie Boże, nie wpłynęłoby to na zmianę jego pozytywnego stosunku do Mateczki jako Założycielki mariawityzmu, w istocie jest błędne, bo zakłada możliwość grzechu w Mateczce, co jest niezgodne z planem zbawienia.

Również rozumowanie Autora prowadzące do tego, żeby uzasadnić, że Mateczka, jako osoba wybrana do prowadzenia Dzieła Wielkiego Miłosierdzia i poharńbienia szatana musiała mieć umotywowane poczucie, że jest „wielką grzesznicą” - oczywiście pochodzące z własnej, choćby niewielkiej winy - jest wielkim błędem. Ani Pan Jezus, gdyby uległ w jakimś stopniu pokusie ducha złego, nie mógłby dokonać Pierwszego Miłosierdzia Bożego, czyli Odkupienia, ani także Mateczka w takim stanie nie mogłaby się stać Sprawczynią Dzieła Wielkiego Miłosierdzia i dokonać nowej Ofiary zbawienia świata.

Dlaczego Autor nie sięgnął do innych źródeł, żeby tę kwestię lepiej zbadać? W mariawityzmie było dwóch świadków sumienia Mateczki: arcybiskup Michał i biskup Jakub. Każdy z nich jeśli nie więcej, to przynajmniej raz jeden z Woli Bożej słuchał spowiedzi Mateczki z całego Jej życia. Biskup Jakub w swoich pamiętnikach wysławia Mateczkę jako Małżonkę Chrystusową, bezgrzeszną i podobną w świętości Matce Najświętszej. Arcybiskup Michał w 1903 r. w Rzymie, wysłuchawszy spowiedzi Mateczki z całego Jej życia, przechodzi rozterkę nie wiedząc co ma uczynić. Bo Pan Jezus kazał się Mateczce spowiadać, a on nie znajduje potrzebnej materii do rozgrzeszenia. Stwierdzając w końcu, że Mateczka w całym swym życiu nie tylko ciężkiego grzechu, ale nawet najmniejszej winy nie popełniła - decyduje się na udzielenie Jej rozgrzeszenia warunkowego. W sytuacji, gdy rozżalona Mateczka na modlitwie prosi Pana Jezusa, aby oświecił o Michała i dał mu poznać wielkość Jej grzechów, otrzymuje znamiennej odpowiedź „*Masz się tak uważać, jak Cię Michał osądził*”²⁾.

Wyjaśnienia słów objawienia Bożego mówiącego o grzeszności Mateczki nie można szukać w domniemanych jej brakach duchowych, bo takich nie było. Wyjaśnienie to można znaleźć tylko w wyjątkowości Jej posłannictwa jako Nowej Zbawicielki świata, dopełniającej Dzieło Odkupienia ludzkości. Jak Pan Jezus w Ogrójcu poczuł się grzesznikiem, gdy grzechy wszystkich ludzi uczynił swoimi i jako „Grzesznik” stanął przed

Ojcem, tak też i Mateczka, zamykająca cykl zbawienia i wykończająca Dzieła Miłości Bożej względem człowieka, uczyniła podobnie.

Przecież w tym liście mamy potwierdzenie, że Mateczka otrzymała na nowo przypomnienie o swej Ofierze. A co to jest ofiara? Czy nie jest to przyjęcie dłużnego skryptu (grzechów) dłużnika na siebie i zadośćuczynienie za nie jako za własny dług? Mateczka prowadzona przez Pana Jezusa wie od dawna, że ma być ofiarą, przede wszystkim za kapłanów, i że jest wielką grzesznicą, bo takie Pan Jezus wlał w Nią przekonanie w związku z Jej wielkim, ofiarnym posłannictwem. Jako Zbawicielka-Grzesznica czuje się doskonale. To Jej pomaga do powiększania zasług ofiarnych, do najpełniejszego wykorzystania wszystkiego w Jej duszy dla Chrystusa Eucharystycznego i Jego Chwały, oraz dla dobra bliźnich. Ten właśnie stan na to pozwalał, żeby niczego sobie nie pozostawiać, a wszystkie możliwe pola zasług spożytkować maksymalnie i obrócić na potrzebną najświętszą, zadośćuczynną Ofiarę.

Mateczka przyjąwszy, podobnie jak Chrystus, grzechy świata na siebie i uczyniwszy je swoimi trwała i usiłowała trwać w poczuciu grzeszności zawsze i wobec wszystkich, choć nie przeszkadzało to Jej w promieniowaniu światłością nauki Bożej oraz doskonałością wyrażającą się głównie w pokorze i miłości. Tak Mateczka wysiłkiem całego życia ze drzeniem zbierała swe bezcenne kosztowności duchowe na poczet swego wielkiego, globalnego Rozrachunku. Dokonała to, jak wiemy, swą całopalną Ofiarą ujawnioną w Jej fenomenalnej „brzemienności”, przewyższającej wszelkie pojęcie o rodzaju, rozmiarach i czasie trwania świadomie i chętnie przyjętych cierpień dla uwielbienia Chrystusa obecnego w Eucharystii i zbawienia świata. Ofiarę swą całopalną, trwającą osiemnaście ostatnich miesięcy Jej życia, zakończyła chwalebnie 23. sierpnia 1921 roku.

Można mieć jeszcze pewne zastrzeżenia do innych wypowiedzi Autora. Na przykład, czy tak zwany „*Pierwotny tekst*” może należeć do „kanonu” objawień. Napisany on został przez

Mateczkę wkrótce po doznanych głównych Jej objawieniach na życzenie spowiednika. Właściwy zaś tekst Objawień pod nazwą „Początek zawiązku zgromadzenia kapłanów”, jako obowiązujący w mariawityzmie, powstał dopiero na rozkaz Pana Jezusa w grudniu 1902 roku i swym powstaniem zaświadczał, że to, co istniało przed nim, nie miało i nie ma charakteru obowiązującego. Podobne znaczenie, lecz odpowiednio dużo mniejsze, może mieć również treść odnalezionych obecnie dwóch listów Mateczki.

Dalsze trzy Księgi, tak jak brzmią ich tytuły, dopisane zostały przez Mateczkę stopniowo, w latach następnych, do pierwszych objawień i stanowią one razem z nimi jeden zwarty ciąg rękopisu Jej objawień. Te właśnie objawienia Mateczka pozostawiła Kościołowi i o nich powiedziała, że bierze za nie odpowiedzialność.

M. Rafał

¹ List Mateczki do o. Jakuba Łuszczewskiego - „Dzieło Wielkiego Miłosierdzia dla świata” - praca zbiorowa. Płock 1922 str. 563.

² Abp M. Michał Kowalski „Krótki Zyciorys i pierwotny tekst objawień Mateczki” tamże str. 176.

TRZECH NABOŻNYCH EGOISTÓW

Przed paru dniami przyszło do mnie trzech nabożnych egoistów. Pierwszy był sanjasinem to jest człowiekiem, który się wyrzekł świata; drugi orientalistą szczerze wierzącym w braterstwo; trzeci pracował z całym przekonaniem dla urzeczywistnienia wspaniałej utopii. Każdy z nich był całkowicie oddany swej pracy i patrzył z góry na działalność i postawę życiową innych ludzi; każdy też czerpał natchnienie i siły z własnych przekonań. Wszyscy trzej byli gorąco przywiązani do swych osobistych poglądów, a każdy na swój sposób był dziwnie bezwzględny.

Mówił mi - zwłaszcza utopista - iż gotowi są wyrzec się wszystkiego, nawet siebie i przyjaciół poświęcić dla swych

przekonań. Wydawali się łagodni i skromni, najbardziej ten od braterstwa - a jednak była w nich jakaś twardość, nieczułość serca i owa szczególna nietolerancja właściwa ludziom, którzy się czują czymś lepszym od innych, którzy są powołani do przekazywania innym rzeczy ważnych, posiadają bowiem wiedzę i są pewni swego.

Sanjasin, w trakcie poważnej rozmowy, powiedział, że się przygotowuje do następnego żywota. Obecny - mówił - może mu dać niewiele, albowiem przeniknął na wskroś wszystkie światowe uludy i oswobodził się od doczesnych spraw. Przynawał, że ma pewne wady i trudności w koncentracji, ale - dodał - w następnym wcieleniu musi być ideałem, który już dziś widzi przed sobą. Całe jego zainteresowanie i energia skupiały się w przekonaniu, iż ma się stać kimś wybitnym w następnym życiu. Rozmawialiśmy dość długo i wciąż kładł nacisk na jutro, na przyszłość. Przeszłość istniała - mówił - ale zawsze w związku z przyszłością; terażniejszość jest tylko przejściem ku przyszłości, „dzisiaj” może być ciekawe tylko przez wzgląd na jutro. Gdyby to jutro nie istniało, po cóż byśmy mieli podejmować jakikolwiek wysiłek? Można by również dobrze wegetować, lub jak krowa trwać w miłym pokoju.

Całe życie było dlań nieustannym przechodzeniem przeszłości w przyszłość poprzez chwilową terażniejszość; powinniśmy więc używać jej - mówił - aby się stać czymś w przyszłości - silnym, rozumnym, współpracującym. zarówno terażniejszość jak przyszłość przemijają, ale w jutrze dojrzewa owoc. Podkreślał wciąż, iż „dzisiaj” jest jeno szczeblem i nie należy się zbytnio o nie troszczyć, ani mu nadawać wielkiego znaczenia, natomiast trzeba widzieć jasno ideał jutra przed sobą i wytrwale ku niemu dążyć. Terażniejszość niecierpliwiła i męczyła go niewymownie.

Człowiek od braterstwa był bardziej wykształcony, używał też bardziej poetycznego języka; był mistrzem w operowaniu słowami, mówił łagodnie, miękko i przekonująco. On również utworzył był idealny obraz siebie w przyszłości. Musi się stać nie byle kim. Idea to wypełniała jego serce i już zawczasu gromadził swoich przyszłych uczniów. Śmierć - mówił - jest piękna, gdyż

zbliża nas do boskiej wizji nas samych w przyszłości, a pamięć o niej czyni nam życie w tym brzydkim i smutnym świecie znacznie łatwiejszym.

Pragnął gorąco przetwarzać i upiększać świat i pracować szczerze dla braterstwa ludzi. Uważał, iż ambicja, wraz z nieodłącznym od niej okrucieństwem i zepsuciem, jest nieodzowna na tym świecie, gdzie wszak dokonywanie wielu rzeczy jest konieczne. Uważał również, iż - na nieszczęście - chcąc prowadzić różne organizacyjne prace, trzeba mieć dość twardą rękę. Praca jest ważna, gdyż ma pomagać ludzkości, każdy więc, kto się jej przeciwstawia i przeszkadza, musi być odsunięty - oczywiście łagodnie. Organizacja stworzona dla tej pracy ma najwyższą wartość i nie może dopuścić, aby jej przeszkadzano. Inni mają swoje drogi, metody - dodał - ale w istocie nasza jest najważniejsza, a każdy, kto nam utrudnia, nie jest jednym z nas.

Utopista był dziwnym połączeniem idealisty i człowieka wskroś praktycznego. ewangelią jego było nie dawne, lecz nowe. W to nowe wierzył bez zastrzeżeń. Twierdził iż wie, co przyszłość ma przynieść, albowiem ta nowa ewangelia dokładnie ją przepowiedziała. Planem jego było wpiery zamęt, a potem organizować i przeprowadzać swoje. Teraźniejszość - mówił - jest zgniła. Trzeba ją zniszczyć, a z tego zniszczenia coś nowego zbudować. Trzeba poświęcać teraźniejszość dla jutra. Człowiek przyszłości jest ważny. Los człowieka dzisiejszego ma małe znaczenie.

Wiemy dobrze, jak stworzyć tego człowieka przyszłości - mówił. - Możemy ukształtować jego umysł i urobić serce, ale aby dokonać czegoś dobrego musimy zdobyć władzę. Poświęcimy siebie i innych, aby stworzyć nowy porządek na świecie. Zniszczymy każdego, kto nam stanie na drodze. Jakość bowiem środków nie ma żadnego znaczenia. Cel uświęca wszystkie środki.

Dla osiągnięcia ostatecznego celu, to jest pokoju, można używać każdej formy gwałtu i przymusu; aby zdobyć swobodę dla jednostki w przyszłości. Ucisk i tyrania są dziś nieuniknione. Gdy pochwycimy władzę w ręce - stwierdzał - będziemy używali wszelkiego przymusu, byle tylko zbudować nowy porządek na

świecie, bezklasowe społeczeństwo nie mające żadnych kapłanów. Nie odstępimy nigdy od naszej podstawowej tezy. Zjednoczyliśmy się z nią zupełnie, ale będziemy zmieniać strategię i taktykę w zależności od zmieniających się warunków. Planujemy, organizujemy i działamy w jednym celu - zniszczenia człowieka dzisiejszego dla stworzenia człowieka jutra.

Sanjasin, wyznawca braterstwa i utopista - wszyscy żyją dla jutra, dla przyszłości. Nie mają, w zwykłym, światowym tego słowa znaczeniu, wygórowanych ambicji, nie pragną wysokich zaszczytów, sławy czy uznania. Ambicją ich jest osiągnięcie o wiele subtelniejszych wartości. Utopista utożsamiał się z pewną grupą ludzi i wierzy w jej siły i możliwości zmiany kierunku życia całego świata, wyznawca braterstwa marzy o moralnym wzniesieniu się ponad innych, a sanjasin o osiągnięciu idealnego celu. Wszyscy trzej są pochłonięci swym własnym stawaniem się, swymi osiągnięciami i wciąż się wzmagającym wzrostem. I nie dostrzegają, że właśnie te pragnienia są zaprzeczeniem pokoju, braterstwa i prawdziwego szczęścia.

Ambicja w jakiegokolwiek formie - żywiona w imieniu grupy czy z pragnienia osobistego zbawienia lub duchowych osiągnięć - jest odkładaniem czynu. Ich pragnienie wybiega zawsze w przyszłość. Chęć stania się czymś jutro, kiedyś w przyszłości równa się bezczynowi w „dzisiaj”. A przecież właśnie „dzisiaj” znaczy o wiele więcej niż jutro. Tu, teraz, w chwili obecnej zawarta jest całość czasu. Zrozumieć w pełni to „dzisiaj”, to być wolnym od czasu. Stawanie się jest przedłużaniem czasu, a więc i cierpienia. Stawać się, to co innego niż *być*. Być można tylko „teraz”, a wejść w stan bytu jest najwyższą z przemian. Stawanie się czymś jest tylko formą ciągłości, przedłużeniem czasu, a przemiana dogłębna i całkowita może nastąpić tylko w teraz. Tylko w „teraz” można być.

Jerzy Znamierowski

=====

Odpowiedzialność za „talenty”

„Człowiek pewien, mając udać się w podróż, przywołał swoje sługi i przekazał im swój majątek. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa, trzeciemu jeden; każdemu według jego zdolności i odjechał” (Por.: Mt. 25; 14-30).

A więc nie jesteśmy właścicielami w takim znaczeniu, jak nam się to nieraz wydaje. Nasza władza nad powierzonymi nam talentami nie sięga tak daleko, byśmy mogli nimi swobodnie rozporządzać aż do marnotrawstwa i zniszczenia. Wszystko co mamy, zostało nam dane przez ręce Boga. Powierzył nam to Ten, Który jest Panem wszystkiego. Talentem jest nasze istnienie, ludzkie ciało i duch, ludzka myśl, talentem jest Dzieło Wielkiego Miłosierdzia złożone przez ręce Boga bł. Marii Franciszce, a przez Nią powierzone nam. Dzieło Wielkiego Miłosierdzia jest jak ewangeliczna rola, w której ukryte są perły: Eucharystia i Nieustająca Pomoc Najświętszej Maryi Panny. Człowiek ewangeliczny poszukując pereł sprzedał wszystko, co miał i nabył tę rolę, w której ukryte były perły.

Czy w modlitwie dziękujemy Bogu za objawione światu Dzieło Wielkiego Miłosierdzia, które jest ostatnim ratunkiem dla ginącego w grzechach świata? I pomyśleć, ja i ty należymy do tego Dzieła, co więcej my to dzieło tworzymy i jesteśmy za nie odpowiedzialni. Czy się zastanawiamy nad tym, że siła tego Dzieła zależy między innymi także od naszej wiary? Nie tylko od wiary, ale od nieustannego naszego przyznawania się do mariawityzmu.

Związek jest wtedy silny, kiedy członkowie przyznają się do jego założyciela i spełniają wymagania jakie na nich założyciel nakłada. A Założycielka nasza bł. Maria Franciszka jednego tylko pragnęła *„by wszyscy ludzie poznali i ukochali Jezusa Utajonego w Przenajświętszym Sakramencie”*. Czy wdzięczni jesteśmy

Założycielce - bł. Marii Franciszce, że zgodziła się przyjąć dar - Dzieło Wielkiego Miłosierdzia, dzięki któremu możemy liczyć na nasze wieczne zbawienie i na wiele łask tak bardzo potrzebnych nam w doczesnym i wiecznym życiu?

A kiedy przyjdzie chwila rozliczenia się z otrzymanych talentów w Dziele Wielkiego Miłosierdzia, Pan Bóg nie będzie szukał świadectwa naszych wartości w wycinkach gazet, lecz liczyć się będą tylko te talenty, które tkwią w nas samych i w ludziach, którzy dzięki nam stali się bardziej dziećmi Bożymi.

opracował brat T.M.

JESTEŚ

*Jesteś we mnie Panie
Choć Cię nie dostrzegam;
Bezskutecznie szukam,
Niepotrzebnie biegam.*

*Jesteś moim słuchem
Kiedy słucham ciszę;
Wtedy każdy szczegół,
Każdą myśl usłyszę*

*Jesteś w moim spojrzeniu,
By dobro dostrzegać
W życia utrudzeniu,
W codziennych zabiegach*

*Jesteś w mojej duszy!
Nieskończonej głębi;
Chcesz dostrzegać wszystko
Co mnie w sercu gnębi.*

*Jesteś w mego serca
Każdym uderzeniu,
Przypominasz ciągle
O swoim istnieniu.*

*Jesteś cały we mnie,
Dlatego tak zrobię
Bym kiedyś powiedział:
Cały jestem w Tobie.*

Marek Suder

Z dziejów Zgromadzenia

Czytelnicy pytają nas czasem o wydawcę „Pracy nad sobą”, o naszą gałąź Zgromadzenia. Czym ona jest? jak się zawiązała? Jakie ma cele? Postanowiłem napisać trochę moich, osobistych wspomnień z jej krótkiej, ale już pędziesiąt lat liczącej sobie historii. W tych wspomnieniach będę unikał podawania imion osób jeszcze żyjących, o których nie wiem, czy by sobie tego życzyły.

1. Pod kierownictwem brata Wiesława

Urodziłem się i zostałem wychowany w rodzinie ateistycznej. Dopiero w wieku 21 lat skierowały mnie ku chrześcijaństwu przeżycia wewnętrzne. Obserwując różne chrześcijańskie wyznania uznałem, że najbliższy Ewangelii jest Kościół Mariawitów. W roku 1952. przystąpiłem do tego kościoła. W pięć lat potem wstąpiłem do Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów i otrzymawszy habit w wigilię uroczystości Św. Franciszka w roku 1957. zacząłem studiować w trybie zaocznym i przyspieszonym teologię, aby się stać stałym diakonem. Święcenia diakonatu otrzymałem w rok później. Nie zostałem jednak stałym diakonem. Studiując nadal teologię w mariawickim, plockim seminarium okazałem się potrzebny jako kapłan i otrzymałem święcenia prezbiteratu w drugą rocznicę moich obłóczyn, w roku 1959.

Jeszcze jako diakona przyciągnęła mnie do siebie osobowość brata kpl. M. Wiesława Urbasa. Później zaś, już jako kapłan, zaprzyjaźniłem się z bratem kpl. M. Polikarphem Zaborkiem. Wszyscy trzej byliśmy pod urokiem postaci nieżyjącego już wtedy brata bpa M. Jakuba Próchniewskiego. Ja ponadto ogromnie ceniłem intelekt brata bpa M. Bartłomieja Przysieckiego. We trzech rozmawialiśmy o zakonności mariawickiej, która niestety coraz bardziej w Kościele Starokatolickim Mariawitów zanikała. Jedni odbiegali w ogóle od zakonności. Inni radzi by w kościele przywrócić dawną zakonność typu tradycyjnego, tak różną od tego, czego domagały się objawienia Mateczki. Bywały wprawdzie czasem organizowane rekolekcje kapłańskie jednak o dawnych kapitułach Zgromadzenia, czy innych zebraniach w Zgromadzeniu, które by się zajmowały wewnętrzną pracą braci lub sióstr zakonnych, słyszałem tylko z opowiadań. Większość kapłanów stanowili wówczas duchowni pobożni, wykształceni, wygłaszający ciekawe nauki w czasie nabożeństw, wiernie

administrujący swoimi parafiami, ale interesowały ich przede wszystkim sprawy kościelne, nie zakonne. A my trzej nie po to przyjeśliśmy habity zakonne, aby być pro prostu księżmi. Znaliliśmy i innych biskupów i kapłanów, którzy też pragnęli odnowienia życia zakonnego w naszym kościele. Usiłowano się tworzyć zjazdy i zebrania mariawickich braci i sióstr, usiłowano się w taki i inny sposób podawać zakonny pokarm duchowy i pociągać w górę wszystkich, którzy nosili szare, mariawickie habity. I nasza trójka brała w tym udział. Efektów jednak nie było. I wtedy brat Wiesław zaproponował, abyśmy przestali dźwigać na siłę tę większość, która bynajmniej poddźwignięta być nie pragnie, której wystarcza uczciwa praca parafialna, abyśmy pracując nadal w parafiach powierzonych naszej pieczy przez Kościół, starali się pracować wzajemnie nad sobą, stać się ostoją mariawickiej idei i praktyki zakonnej. Były to lata sześćdziesiąte. Usiłowaliśmy do naszej grupy pozyskać innych kapłanów, czy może biskupów. Ale oni byli zdania, że nie należy się wyróżniać z całości. Owszem, wszyscy razem dążyć do dawnej, mariawickiej gorliwości zakonnej. Ledwie pod sam koniec naszej ówczesnej działalności udało się pozyskać jeszcze czwartego kapłana. Dużo wcześniej do naszej grupy przystał natomiast pewien profesor Uniwersytetu Warszawskiego nie będący duchownym, a należący do Kościoła Ewangelicko Augsburgskiego. Do dziś się dziwię, jak ten człowiek wychowany w zupełnie innej tradycji kościelnej niż pierwsi mariawici, szybko i skutecznie pojął zasady i duchowość mariawicką.

Cośmy robili? Niewiele. Nasza działalność była bardzo ograniczona. Staraliśmy się zbierać - możliwie regularnie - raz w miesiącu, najlepiej w dniach parafialnych adoracji Przenajświętszego Sakramentu. Było to wygodne, bo nie wywoływało zainteresowania naszym zjazdem. Wiadomo - przyjechali na adorację. Najczęściej zapraszał nas do Leszna lub do Błonia (w Błoniu koło plebanii nie mieszkali wścibscy parafianie) brat Wiesław, któregośmy traktowali jako naszego oczywistego przełożonego. Jedno, o ile dobrze pamiętam - ostatnie, nasze zebranie odbyło się też w moim mieszkaniu w Warszawie.

Odprowadaliśmy wspólnie Mszę Świętą. Ktoś z nas wygłaszał referat na jakiś duchowy temat. Zjadaliśmy też wspólny posiłek, często dwa, a jeśli zostawał czas, to jeszcze odmawialiśmy wspólnie stary, kapłański brewiarz mariawitów. A przede wszystkim rozmawialiśmy, a rozmawialiśmy. Wymienialiśmy się doświadczeniami w pracy nad sobą,

radziliśmy się wzajemnie w problemach moralnych, zarówno naszych własnych, jak i tych z jakimi przychodzili do nas wierni.

Zdarzało się, że w rozmowach brała udział również siostra M. Klaudia, małżonka brata Wiesława. Była cenną naszą konsultantką w wielu problemach. Łączyła w sobie praktyczną znajomość spraw mistycznych ze świetnym wyczuciem potrzeb tego świata. Do grupy naszej nie należała i dziś, z perspektywy czasu, nawet nie znajduję odpowiedzi na pytanie, dlaczego. Czyżbyśmy wtedy uważali, że prawdziwa zakonna wspólnota powinna łączyć osobno mężczyzn i kobiety? Trudno mi dziś odtworzyć nasz ówczesny stosunek do siostry Klaudii. W każdym razie była to jedyna osoba spoza naszego kręgu, która wiedziała o nim wszystko i dochowywała pełnej dyskrecji.

Pamiętam jedno ze spotkań w Lesznie, gdy przy pięknej, letniej pogodzie słonecznej odbyliśmy zasadnicze zebranie w lesie. Siedząc wprost na trawie, gdzie szare habity pięknie harmonizowały kolorystycznie z zielenią podłoża i brązem pni drzewnych słuchaliśmy referatu profesora - ewangelika, jedyne odzianego po świecku. O czym był referat, już dziś nie pamiętam. W pamięci pozostały barwy to rozjaśnione promieniami Słońca, to intensyfikowane cieniem koron drzew, kontrastujące z głębią czerni zarośli podszycia lasu.

Chociaż należał do nas ewangelik, byliśmy organizacją czysto wyznaniową - „płocką”. Istnienia Felicjanowa właściwie nie braliśmy pod uwagę, a tym bardziej tego, że idee mariawickie mogą być atrakcyjne dla innych, tradycyjnych wyznań. Chcieliśmy ożywić Kościół Starokatolicki Mariawitów, a że nie mieliśmy siły dźwigać wszystkiego i wszystkich, więc *tyczasem* postanowiliśmy żyć sami możliwie głębokim życiem duchowym. Nie mieliśmy żadnych konkretnych planów ale żywiłmy przekonanie, że sam Duch Święty wskaże nam dalsze konkretne metody działania. Aby tylko nie ustawać w pracy nad sobą. Uważaliśmy też, że pełna dyskrecja naszej działalności gwarantuje nam konieczny spokój w pracy. Praca wewnętrzna jest sprawą niezmiernie delikatną i nie znosi brutalnego wtrącania się czynników zewnętrznych. Owszem, gdy ochłonimy, gdy będziemy silni i liczebni, zaczniemy działać również zewnętrznie, ciepło naszego ogniska powinno pośrednio podziałać na cały Kościół, ale pielęgnowanie ognia powinno być pozostawione tylko małej, zwartej grupie.

O naszym istnieniu i nadziejach brat Wiesław poinformował (bardzo ogólnie zresztą) brata biskupa M. Michała Sitka. Biskup uważał, że

nie tędy droga, że trzeba podnosić poziom wszystkich kapłanów, a nie koncentrować się nad sobą samymi. Nie bardzo mu się też podobała obecność wśród nas laika i to jeszcze z innego wyznania. Wierzył w możliwość jednoczesnego podniesienia wszystkich kapłanów mariawickich na wyższe stopnie pobożności. Przez jakiś czas wierzył też bardziej w akcję odgórną popartą zaleceniami, instrukcjami i nakazami, niż w oddolne usiłowania. Potem się przekonał o niemożliwości osiągnięcia wyników taką metodą. Wtedy, jak wiadomo, zrzekł się funkcji biskupich i zaczął pracować znów jako proboszcz. Dopiero przed samą śmiercią doszedł do wniosków podobnych do naszych i nawet zaczął przygotowywać podobną działalność, ale już było za późno.

Działalności naszej grupy nie przerwała jednak niechęć jakiegoś biskupa lub grupy kapłanów. Sprawila to ciężka choroba, a potem śmierć brata Wiesława. Zostało nas wprawdzie trzech kapłanów i jeden laik, ale zabrakło przywódcy, przełożonego. Nie potrafiliśmy już zorganizować i zwołać spotkań. Byliśmy jak sparaliżowani. Wraz z zamarciem naszej działalności organizacyjnej (jeśli ją w ogóle tak można nazwać, bo co to była za organizacja), zamarła i indywidualna praca nad sobą. Ja wypełniając formalnie obowiązki kapłańskie zająłem się bardziej pracą zawodową niż czymkolwiek innym. Ot, czasem napisałem jakąś rozprawkę teologiczną, albo artykuł do „Mariawity” i to wszystko. W życiu osobistym też popełniłem w tym okresie sporo błędów. Trudno mi mówić w imieniu pozostałych, ale czuję, że i oni też przeżyli okres upadku duchowego. Aż do końca lat siedemdziesiątych trwaliśmy w marażmie. Sporadyczne kontakty indywidualne i narzekania że jest źle, w żaden sposób nie mogły zastąpić pracy pozytywnej.

Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych zbudził resztki naszej grupy impuls, który przyszedł z zewnątrz. Ale o tym - kiedy indziej.

brat Paweł

S E K T Y

Był w Polsce czas i to niezbyt dawno, w którym w oficjalnym języku wydatnie ograniczono używanie terminu 'sekta'. Termin ten stosowany był publicznie wypadkowo i wydawało się, że się stanie z czasem wyrażeniem anachronicznym. Nie chcę przesadzać i twierdzić, czy powyższe ograniczenie używania tego

terminu wynikało z działania ówczesnych służb cenzorskich, czy z mozolnie się budującej świadomości społecznej. Od czasu do czasu bowiem w wypowiedziach publicznych ten wyraz się pojawiał, ale w minionym czasie głównie funkcjonował w kazaniach i publistyce pochodzącej ze środowisk rzymskokatolickich¹⁾. Działo się tak mimo wprowadzenia jeszcze przez papieża Jana XXIII do terminologii rzymskiej określenia '*bracia odłączeni*' dla oznaczenia chrześcijan nie uznających zwierzchnictwa papieskiego, a także ludzi nie zaliczających się do chrześcijan. Inna sprawa, że termin '*bracia odłączeni*' nie był wynaleziony przez tego papieża. Jeszcze przed II Wojną Światową w łonie rzymskiego katolicyzmu powstała tendencja, aby takim właśnie terminem określać ludzi nie będących w jedności z papieżem rzymskim. Już bowiem w 1929 roku na XV Tygodniu Społecznym w Mediolanie przedstawiciele Akcji Katolickiej uchwalili, aby termin '*heretyk*' będący w tym czasie w powszechnym użyciu, zastąpić tym właśnie określeniem²⁾. Papieski apel aby 'brat odłączony' zastąpił inne formy określeń innowierców, został szczególnie w Polsce zignorowany. Nadal w kazaniach i wypowiedziach kleru, lub osób zbliżonych do sfer klerikalnych, stosowano dawne określenia typu: heretyk, schizmatyk, sekciarz, a nawet 'kocia wiara'³⁾

W ostatnich latach odnotowuje się renesans terminu 'sekte' w publicystyce prasowej i radiowo - telewizyjnej, a także w wystąpieniach publicznych niektórych osób parających się polityką. Co więcej, powstały w uczelniach kościelnych formy organizacyjne (nie chcę napisać - instytuty), które w nazwie własnej posiadają określenie 'sekte'. Wydaje się, że fakt ten musi budzić nie tylko niepokój, ale także wywoływać sprzeciw ludzi rozsądnych i postępowych. Niestety, tak nie jest mimo, że uzasadnienia do używania określenia 'sekte' w języku współczesnym nie ma. Kiedyś na łamach czasopisma "*Mariawita*" starano się wyjaśnić, że brak materialnych i formalnych przesłanek do używania tego terminu⁴⁾, ale z uwagi na ograniczony zasięg tego czasopisma nie należy sądzić, iż wywody tam zawarte miały wpływ na ludzkie postępowanie i używaną terminologię.

Przez pojęcie 'sektą' rozumie się między innymi grupę ludzi izolującą się od ogółu, lub grupę religijną, która się oderwała od któregoś z wielkich kościołów⁵⁾. Bardziej wnikliwą analizę tego określenia daje rzymskokatolicki biskup Z. Pawłowicz⁶⁾. Autor uważa że to pojęcie ma wielorakie znaczenie i rozumiane jest jako wspólnota, związek, grupa ludzi, która się wyodrębniła z jakiejś wielkiej religii; ruch społeczny czy światopoglądowy. Nadto autor przytaczając poglądy socjologów wywodzi, że przez 'sektę' można rozumieć grupę ludzi uznającą autorytet charyzmatyczny przewodnika i zarazem burzyciela tradycji. Równocześnie w powołanym opracowaniu, chyba po raz pierwszy z pozycji rzymskokatolickiej potępia się, że w praktyce termin ten ma znaczenie pejoratywne. Do. Pawłowicz dodatkowo przyznaje, że w nauczaniu papieskim Jana Pawła II, a także w ważnych, ostatnio wydanych dokumentach watykańskich, to pojęcie nabrało na nowo praw obywatelskich⁷⁾. Jeżeli więc pojęcie to ma znaczenie ujemne i jest pomimo to stosowane przez jakąś organizację kościelną, to w tym miejscu nasuwa się nieodparcie dygresja dotycząca naruszania jednego z przykazań Boskich - Przykazania miłości Bliźniego (Mat.12;31). trudno bowiem realizować Boski nakaz miłowania bliźniego równocześnie słowami oczerniając tegoż bliźniego i stawiając na marginesie życia społecznego.

Uwzględniając wspomniany fakt szerokiego stosowania określenia 'sektą', a także mając na uwadze wszystko, co wyżej napisałem, należy się zastanowić czy stosując taką terminologię można przywołać na uzasadnienie tej praktyki rzeczywiste argumenty. To co napisano na łamach „Pracy nad sobą” o wolności sumienia⁸⁾, pozwala nam ustalić, że ta wolność jest zdobyczą nowoczesnego człowieka i nie może być przez nikogo kwestionowana. Nowoczesne ustawodawstwa państwowe nie tylko deklarują tę wolność, ale tworzą systemy prawne zapewniające poszanowanie poglądów ludzkich. Państwa demokratyczne zakładają bowiem partnerstwo między przeciwnikami ideologicznymi i ugrupowaniami wewnątrz tego państwa, ponieważ tylko na gruncie równości i wolności może się przejawić lojalność i świadomość państwowa⁹⁾.

Cytowane opracowanie bpa Pawłowicza nie rozpatruje więc pojęcia 'sektą' na gruncie prawnym. Jest to oczywiste ponieważ ten termin nie jest pojęciem prawnym. Nie występuje ono w podręcznikach uniwersyteckich z zakresu prawa wyznaniowego opracowanych tak przez autorów świeckich jak i kościelnych. Okoliczność ta jest o tyle zrozumiała, że w Polsce wolność sumienia i wyznania państwo deklaruje od 1945 roku i była ona formalnie przestrzegana.¹⁰⁾ Również Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z 1997 roku konsekwentnie nie stosuje określenia 'sektą' zapewniając obywatelom wolności i prawa obywatelskie, a wśród nich wolność w życiu społecznym, politycznym i gospodarczym. Każdy z obywateli ma prawo wyrażania swych poglądów, zrzeszania się w ramach przewidzianych przez prawo, a kościoły i związki wyznaniowe są równouprawnione przy równoczesnym zachowaniu przez państwo bezstronności w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych¹¹⁾. Wobec powyższego każdy piszący o sprawach ideologii i o prawie człowieka do głoszenia swych poglądów nie może choćby z przyczyn formalnych stosować terminologii pozaprawnej. Wolność sumienia i wyznania oraz konsekwencja tej zasady stanowiąca o formalnej równości wszystkich, poglądów, religii, kościołów i związków wyznaniowych w państwie, prowadzą do oczywistego wniosku, że stosowanie tych zasad wyklucza uznanie któregoś z wyznań za wyznanie przeważające w państwie. Ponadto analizując jedną z podanych wyżej definicji rozpatrywanego pojęcia, a mianowicie określającą 'sektę' jako odłam od wielkiej religii, wielkiego kościoła, czy nawet od kościoła głównego¹²⁾, należy uznać, że brak naukowego uzasadnienia do używania tej terminologii. Jeżeli wszystkie kościoły i związki wyznaniowe są równe formalnie wobec prawa, to poszukiwanie kościoła „głównego” czy „wielkiego” oraz odprysków od tego kościoła, ugrupowań formalnych, czy nieformalnych tylko w tym celu, by takie ugrupowanie nazwać sektą, jest bezprzedmiotowe. Poza tym, jeśli wolno mi głosić moje przekonania, a ponadto zrzeszać się z zachowaniem zasady, iż te przekonania i zrzeszenia nie naruszają porządku prawnego w państwie, to wszelkie próby dyskredytacji

takich poglądów jak i zrzeczeń są naruszeniem prawa. Każde zaś naruszenie prawa nie może być obojętne dla państwa dbającego o ład wewnątrzpaństwowy. Dodać należy także, że ponieważ określenie „sektą” ma w języku polskim znaczenie ujemne (pejoratywne), stosowanie tego terminu w stosunku do pewnych ugrupowań jest zarazem dowodem braku miłości chrześcijańskiej, jak i poniżaniem osób lub grup osób. Wobec tego można się dopatrzeć w stosowaniu tego terminu także znamion przestępstwa pospolitego.

Podsumowując uważam, że język polski stworzył wystarczająco dużo określeń dla ludzkich grup pragnących wspólnie rozpatrywać określone idee. Nie muszą to zaraz być grupy pretendujące do używania określenia „kościół” czy „związek wyznaniowy”. Mamy takie określenia jak : *zrzeczenia, stowarzyszenia, związki, organizacje religijne, a nawet bracia odłączeni*. Można też mówić o *grupach nieformalnych*, które mieszcząc się w państwowym porządku prawnym, a nie pragnąc rejestracji, prowadzą w swym gronie dyskurs ideologiczny lub działalność modlitewną. Używając takich określeń nikogo nie skrzywdzimy stosowaniem terminologii o zabarwieniu pejoratywnym, ani też nie będziemy pewnej grupy obywateli skazywali na zajęcie drugorzędneho miejsca w państwie, ponieważ brak nam prawa do osądzania innych. Należy bowiem pamiętać na Boską przestrożę „nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni” (Mat.7;1).

Osobnym zagadnieniem są grupy, które działają na pograniczu prawa, lub w sprzeczności z prawem. Próby określania tych grup jako „sekt” też nie ma uzasadnienia. Jeśli wymiar sprawiedliwości stwierdzi, iż taka grupa, czy pojedynczy ludzie w swej ideologii i praktyce z tej ideologii wynikającej naruszają prawo, będzie to wtedy grupa przestępcza, czy przestępca indywidualny, a nie sekta ani sekciarz.

Ignacy Stobiecki

¹ patrz: S.Nowicki „Fanatyzm, tolerancja, wolność sumienia” - „Mariawita” Nr.5. z 1962 r.

² „Przegląd Katolicki” nr 32 z dn. 25.VIII,1929

³ patrz: St.Górecki „Odłączony bracie mariawito” „Mariawita” Nr.6. z 1962 r.

⁴ patrz: np. M. Inocenty „Sekta, czy związek wyznaniowy” - „Mariawita” Nr.3 z 1964 r.

⁵ patrz: „Słownik wyrazów obcych” PWN Warszawa 1971 str. 673.

⁶ „Kościoł i sekty w Polsce” Gdansk 1996 str. 121. I nast..

⁷ tamże str. 123

⁸ „Praca nad sobą” zesz. 5. str. 5. - 8.

⁹ Wolfgang Böckenfröde „Wolność - państwo - kościół” Kraków 1994 str.37.

¹⁰ patrz: Henryk Świątkowski - *Wyznaniowe prawo państwowe, problematyka prawna wolności sumienia w PRL*, Warszawa 1962; Michał Pietrzak *Prawo Wyznaniowe* Warszawa 1998; Ks. Stanisław Misztal *Polskie Prawo Wyznaniowe* Lublin 1996.

¹¹ patrz: artykuły 12, 25, 31, 32, 54 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej.

¹² np. *Słownik wyrazów obcych* Warszawa 1937 str. 320.

U P R Z E J M O Ś Ć

Uprzejmość zaliczamy raczej do ogłady towarzyskiej niż do cnót chrześcijańskich. Prawda, że nie jest ona związana bezpośrednio z naszym wyznaniem i jej wartość bywa dyskutowane na gruncie wielu kultur i wielu religii, niemniej właśnie w chrześcijaństwie nabiera ona szczególnego znaczenia, z czego nie zawsze sobie zdajemy sprawę. Chrześcijaństwo jest religią miłości, zaś uprzejmość jest podstawową zewnętrzną oznaką naszego uczuciowego stosunku do innego człowieka. Zewnętrznych oznak nie należy lekceważyć. Mają one spore znaczenie dla rozwoju wewnętrznego.

Jeśli będę zachowywał zewnętrzne formy czci wobec tabernakulum, łatwiej mi będzie pielęgnować wewnętrzną cześć dla Przenajświętszego Sakramentu. Oczywiście te zewnętrzne formy mogą być różne. Wychowany w obrządku zachodnim uklęknie przed tabernakulum na jedno kolano lub, jeśli będzie chciał okazać wyższy stopień czci - na oba kolana. Uczesnik obrządku bizantyńskiego uczyni zamiast tego znak krzyża i pokłon, a gdy będzie chciał okazać wyższy stopień czci, pokłon jego będzie głęboki aż z dotknięciem ręką ziemi. Za to nikt, do jakiego by obrządku nie należał, kto nie przywykł do okazania w żaden sposób szcunku zewnętrznego temu, co święte, nie będzie mógł żywić prawdziwej czci do świętości. Można powiedzieć, że pełna wewnętrzna cześć przejawia się zawsze w jakimś zewnętrznym

wyrazie. I może najwyższą formą takiego zewnętrznego przejawu jest gest spontaniczny, to co bezpośrednio dyktuje serce.

Podobnie jest z miłością bliźniego i jej zewnętrznym wyrazem - uprzejmością. Formy uprzejmości mogą być różne. Ale gdy ich brak zupełnie, gdy napotkany przeze mnie człowiek czuje się potraktowany niegrzecznie, nieuprzejmie, nie mogą uważać, że posiadają miłość bliźniego.

Bywają formy kłamliwe, nieszczerze. Błaznierca może dla pozoru wykonywać dewocyjne gesty, morderca może być bardzo uprzejmy dla swojej ofiary, aby ją zwabić. Nie jest to argumentem przeciw zewnętrznym formom. Fakt, że istnieją fałszywe brylanty, nie umniejsza wartości prawdziwych.

Fałszywy brylant nigdy się nie stanie prawdziwym. Jeśli natomiast, nie umiając tymczasem kochać innych ludzi, będąc skrajnym nawet egoistą, jeśli się będę ćwiczył z dobrą wolą w okazywaniu uprzejmości innym mogę po mału rozwinąć w sobie również wewnętrznie właściwy do nich stosunek. W ogóle ćwiczenie zewnętrznych form uprzejmości jest dla każdego pożyteczne w rozwijaniu szacunku i miłości do innego człowieka. Nie sposób rzeszą ćwiczyć takich form bez jednoczesnego rozwijania umiejętności odczuwania innego człowieka.

Na ogół nie mamy trudności z uprzejmością do osób, które lubimy, szanujemy. Z innych powodów umiemy też być uprzejmi w stosunku do tych, od których jesteśmy zależni. Bo i któż z nas się odezwie opryskliwie, do urzędnika, od którego zależy załatwienie naszej sprawy? Jakie dziecko nie będzie uprzejme wobec cici, która mu może kupić zabawkę lub nie? Ćwiczenie uprzejmości wobec takich ludzi nie wiele nam da.

Istnieją natomiast ludzie, których nie łatwo jest szanować. Ot na ulicy siedzi odrażający żebrak. Mam poważne wątpliwości, czy jest to człowiek, naprawdę w sytuacji bez wyjścia, czy też ktoś żebrzący z przyzwyczajenia, a może nawet zbierający na wódkę. Błyskawicznie biegną myśli. Mało prawdopodobne, aby ten człowiek naprawdę musiał żebrac, ale jeżeli jednak? Na wszelki wypadek decyduję mu dać 50 groszy. Mogę to zrobić wyrażając całą odrazę jakiej się nie mogę pozbyć, poprostu wrzucić z góry

monetę do ustawionej przed nim puszką po konserwach. Ale ćwiczę uprzejmość więc się nachylam i wrzucając mówię grzecznie „proszę pana” i oto staruszek zmienia martwy, nieszczęśliwy, żebraczy wyraz twarzy, uśmiecha się do mnie i odpowiada „dziękuję Panu”. W jego uśmiechu dostrzegam coś ludzkiego. Nadal nie wiem, czy on „zastępuje” na wsparcie, ale odczułem, że to też człowiek. Jeśli wykorzystuje innych nie musząc żebrać, to jest naprawdę biedny, może jeszcze biedniejszy, godny ludzkiego uczucia i współczucia. Ten gest uprzejmości pozwolił mi bezpośrednio zwiększyć mój płomyk miłości bliźniego.

Mam znajomego należącego do maleńkiego wyznania religijnego, które napawa mnie wstrętem. Oni wszystko wiedzą lepiej. Mistyka? - oczywiście. Ale co wy, mariawici wiecie o mistryce? Mistyka to my! Chrześcijaństwo? - oczywiście. Ale my tworzymy syntezę wszystkich wyznań, jakie tylko istnieją na świecie. Ten człowiek chce, abyśmy godzinę ze sobą porozmawiali. Mam czas, ale nie widzę sensu tej rozmowy. Wolę poświęcić tę godzinę na coś lepszego. Chciało by się opryskliwie powiedzieć „nie mam czasu”. Ale ćwiczę uprzejmość więc ściskam mu na pożegnanie rękę, patrzę łagodnie w jego oczy i mówię: „Nie sądzę, abyśmy w ciągu godziny mogli dojść do jakiegoś porozumienia. Może będzie lepiej, jeżeli poprosto pomyślimy o sobie nawzajem jak brat o bracie. Może kiedyś nasza rozmowa będzie mogła być bardziej pożyteczna. Nie mniej, jeśli czuje pan konieczną potrzebę rozmowy teraz właśnie, to zapraszam. Mieszkam niedaleko. Napijemy się razem herbaty...”. Tu się nic szczególnego nie stało. Człowiek zrezygnował z rozmowy. Pewnie pomyślał (nie bez racji), że stchórzyłem. Ale fakt, że odpowiedziałem uprzejmie nie pozostał bez znaczenia dla mnie. Myślę teraz o tym człowieku jakoś serdeczniej. Zabłąkany, ale mój brat...

Nie zawsze nas stać na uprzejmość. Gdy ktoś wchodzi „na chłama” poza kolejką, gdy ktoś brutalnie się zachowuje, to i w nas rodzą się zachowania bynajmniej nie uprzejme. Ale tym bardziej ile razy uda się nam przezwyciężyć odruch niechęci i zachować się wbrew sytuacji w sposób właściwy - tyle razy możemy odczuć

w sobie wzmagający się płomyczek ciepła dla innych. Tak to jest, że nie można rozwijać miłości bliźniego bez ćwiczenia form zewnętrznego zachowania i nie sposób ćwiczyć form uprzejmości do *wszystkich* bez dbania o rozwój wewnętrzny.

brat Paweł

Wydanie poza zwykłym cyklem pracy redakcyjnej zeszytu specjalnego z nowoodkrytymi listami Mateczki spowodowało ukazanie się aż trzech zeszytów naszego pisma w ciągu czterech miesięcy. Była to jednak sytuacja wyjątkowa. **Ukazanie się następnego, 9. zeszytu przewidujemy dopiero około listopada lub października 1998**

RECENZJE

KRÓTKI KATECHIZM STARO - KATOLICKIEGO KOŚCIOŁA MARIAWITÓW. Oficjalne wydawnictwa kościołów mariawickich należą w Polsce do wyjątków. Nie licząc kilku modlitewników, ostatnią pozycją książkową Kościoła Katolickiego Mariawitów jest praca zbiorowa „Z dziejów królestwa” wydana w roku 1972, zaś ostatnią broszurą Kościoła Starokatolickiego Mariawitów jest „Informator o Kościele Starokatolickim Mariawitów” z roku 1989. Również żaden z obu tych kościołów nie dysponuje pomocniczymi instytucjami wydawniczymi, gdzie by się mogły mniej lub więcej systematycznie ukazywać książki o treści religijnej. Stąd mariawici, zarówno dorośli jak i dzieci, nie mówiąc już o katechetach, wiedzę religijną zmuszeni są czerpać głównie z wydawnictw innych wyznań chrześcijańskich, co czasem prowadzi do niepewności w sprawach własnego wyznania. Nie wiele mogą tu pomóc dwa ukazujące się w Polsce mariawickie periodyki (miesięcznik *Mariawita* i dwumiesięcznik *Nasz Głos*) oraz nasz aperiodyk, które z racji swej określonej tematyki jak również objętości nie mogą zaspokoić całości zainteresowań religijnych polskojęzycznych mariawitów. Dobrze więc, że ostatnio coraz częściej ukazują się pozycje wydawane „oddolnie” przez grupy światłych mariawitów. Oby te inicjatywy okrzepły na tyle, aby wyręczyć władze kościelne, które się muszą obecnie skupić na ważniejszych zadaniach administracyjnych.

Właśnie przyniesiono do naszej redakcji anonimowo wydaną (bez autora, wydawcy i roku wydania) 48-stronicową książeczkę zatytułowaną „Krótki katechizm Staro - Katolickiego Kościoła Mariawitów”. Na różowych stroniczkach, oprawnych w prostą, ale miłą dla oka kartonową, również

różową okładkę znajdujemy starannym, estetycznym drukiem przypomniane podstawowe prawdy wiary, najważniejsze modlitwy, a nawet praktyczne wprowadzenie do udziału we Mszy Świętej. Całość przeznaczona jest dla dzieci pierwszych klas szkoły podstawowej. Na pewno można by w tym katechizmie nie jedno krytykować i proponować ulepszenia. (np. żeby staroświeckie formy „sakramenta” lub „Dziesięcioro Bożego Przykazania” zastąpić współczesnymi formami językowymi) Najważniejsze jednak, że nie ma w tej broszurce żadnych merytorycznych błędów i że zaspakaja ona jedną z licznych, palących potrzeb wydawniczych mariawityzmu.

Mimo braku danych w samej książeczce, udało się nam dojść, że wydawca jest związany z mariawicką parafią Św. Franciszka w Łodzi. Mamy nadzieję, że się zechce on choć częściowo ujawnić aby umożliwić nabycie tego katechizmu (lub jego następnego - być może udoskonalonego - wydania) nie tylko dzieciom uczęszczającym na naukę religii w Łodzi i okolicy, ale również w dalszych parafiach.

M.P

Redakcja uprzejmie prosi o nadsyłanie dalszych, zarówno „oddolnych”, jak i oficjalnych wydawnictw. Chętnie je omówimy w naszym piśmie. Poinformujemy czytelników o ich istnieniu.

=====

PRACA nad sobą - aperiodyk mariawicki. Ukazuje się na prawach rękopisu. Wydaje: Zgromadzenie Mariawitów. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat M.Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul.Św..Sebastiana 10 m.14 - 31-049 Kraków. Prenumerata krajowa wraz z kosztami przesyłki pocztowej obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 12 zł. Należność należy przysyłać wyłącznie listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (po 1 zł. lub mniej) podając dokładny adres nadawcy. Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Osoby zgłaszające prenumeratę po raz pierwszy zechcą podać numer zeszytu od którego mamy zacząć wysyłkę pisma. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu trzech miesięcy od miesiąca wydania niniejszego zeszytu i w przyszłości może ulec podniesieniu jeśli koszty powielenia lub usług pocztowych ulegną zwiększeniu. Osoby, które opłaciły już prenumeratę według aktualnej wysokości, otrzymają oczywiście opłacone przez siebie zeszyty bez żadnej dopłaty. Wysokość prenumeraty zagranicznej zależnie od kraju i żądanego sposobu przesyłania (poczta zwykła lub lotnicza) - podajemy indywidualnie na zapytanie.

=====